



# Pod kulawym Belzebubem

Albert  
Wojt

Albert Wojt

## POD KULAWYM BELZEBUBEM

Kryminał z myszką – Tom 27

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-90-8

Copyright © Wojciech Sadrakuła

Tekst: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1984

Nakład pierwszego wydania: 160 000 + 250 egz.

## I

Niezbyt głośne, ale za to uparte i przenikliwe bzyczenie przerwało ciszę w jednym z pawilonów motelu „Pod kulawym Belzebubem”. Atletycznie zbudowany blondyn zamachał przez sen rękami, jak gdyby chciał odpędzić jakąś natrętną muchę. Niestety bzyczenie zamiast ustać, przybrało jeszcze na sile, przechodząc z wolna w cienki, świdrujący pisk. Mężczyzna przewrócił się na łóżku, wtulił twarz w poduszkę i naciągnął kołdrę po czubek głowy. Jednak i te zabiegi okazały się bezowocne. Po kilku sekundach rozpaczliwego zatykania uszu dał za wygraną. Usiadł na łóżku i półprzytomnie zaczął rozglądać się dookoła. Nagle skonstatował, że przyprawiający go o gęsią skórkę dźwięk ma swoje źródło w okolicy przegubu lewej ręki. Niecierpliwie ściągnął gruby, kanciasty zegarek i namacał właściwy przycisk. W pawilonie ponownie zaległa cisza.

– Och, bloody! – zaklął blondyn, nie mogąc opanować ziewania. – Stary Olaf miał rację, że to gównu nawet umarłego z grobu podniesie!

Zerknął w stronę okna. Na dworze zaczynało już szarzeć i aby zdążyć na czas do Świnoujścia, musiał się pospieszyć. Wstał i bez wahania sięgnął po leżące na krześle sztruksowe spodnie. Rozglądał się właśnie za kurtką, kiedy za jego plecami skrzypnęło łóżko.

– Co się stało, Ingmar? – W głosie Milki zadźwięczała nuta niepokoju. – Wychodzisz?

Szwed odwrócił się i przez chwilę z przyjemnością spoglądał na ciemnowłosą dziewczynę. Bez cienia skrępowania odsunęła na bok kołdrę, tak że nic nie zasłaniało jej jędrnych piersi, płaskiego brzucha i zgrabnych, niewiarygodnie długich nóg.

– Śpij, kotku! – Uśmiechnął się uspokajająco – Mówiłem ci przecież, że muszę być dzisiaj w Ystad. Business is business!

– Kiedy znowu przyjedziesz?

– Jak tylko nadarzy się okazja. Może nawet jeszcze w tym tygodniu.

– Będę czekała.

– Ja też! – Ingmar porozumiewawczo przymrużył oko. – Ze świecą szukać drugiej takiej jak ty.

Chwycił kurtkę i skinąwszy Milce na pożegnanie ruszył do wyjścia. W drzwiach zatrzymał się jeszcze na moment, jak gdyby sobie o czymś przypomniał. Sięgnął po portfel i po krótkim wahaniu odliczył kilka banknotów.

– Kup sobie nową kieckę. – Położył pieniądze na stojącym przy wyjściu krześle. – I ze dwie pary majtek – dorzucił, śmiejąc się ze swego dowcipu.

Trzasnęły drzwi i Ziółkowska została sama. Przez chwilę niezdecydowana siedziała na łóżku. Chciało jej się spać i najchętniej przyłożyłaby jeszcze głowę do poduszki, z drugiej jednak strony zostawione przez Svensona pieniądze działały jak magnes. W końcu ciekawość wzięła górę. Milka zsunęła bose stopy na zimną podłogę i pobiegła do stojącego przy wyjściu krzesła. Niecierpliwie przeliczyła szwedzkie korony. Było ich równe sto pięćdziesiąt.

– Wstrętny kutwa! – syknęła rozczarowana. – Prędzej zobaczy własne ucho bez lusterka, nim go znowu wpuszczę do łóżka!

Wspomnienie otrzymanego wczoraj w prezencie elektronicznego zegarka zachwiało nieco jej postanowieniem, nie zmieniło jednak faktu, że liczyła na znacznie więcej. Miotając na cały głos wulgarne przekleństwa wyciągnęła spod łóżka wielką, nie najnowszą już walizkę i schowała korony pod brudną bieliznę. Już miała zamiar wsunąć walizkę na poprzednie miejsce, ale po chwili zmieniła zdanie. Znowu sięgnęła pod bieliznę i moment później na łóżku leżała całkiem pokaźna sterta zachodnich banknotów.

Ten widok ją udobruchał. Ze szczerą przyjemnością zaczęła segregować dolary, funty, szwedzkie korony i marki zachodniemieckie. Po półtoramiesięcznym pobycie w Międzyzdrojach uzbierała się tego całkiem okrągła sumka.

Milka ponownie sięgnęła do walizki i obok banknotów pojawiła się biżuteria. Przeważnie były to pierścionki i łańcuszki niezbyt dużej wartości. Jedynym cenniejszym przedmiotem była oryginalna bransoletka z delikatnej złotej plecionki ozdobionej maleńkimi turkusikami. Wsunęła ją na rękę i chciała podejść do okna, by lepiej przyjrzeć się błyskotce, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Zapominając o bransoletce spiesznie zgarnęła pozostałą biżuterię i pieniądze do walizki. Jeszcze energiczny kopniak i walizka znalazła się na swoim miejscu pod łóżkiem.

– Kto tam? – burknęła ostro. – Nie za wczesna pora na wizyty?

– Zapomniałem czegoś, kochanie – niewyraźny, męski głos zabrzmiał całkiem obco; w każdym razie nie był to Svenson.

– U mnie? – Dziewczyna sięgnęła po lekki szlafroczek, niedbale zarzuciła go na ramiona i ruszyła do drzwi. – To chyba jakaś pomyłka?

– Jaka znowu pomyłka? Lepiej ty się, Milka, nie wygłupiaj!

Pukanie rozległo się znowu, znacznie już głośniejsze i natarczywiejsze. Przez kilka sekund Ziółkowska wahała się jeszcze, w końcu jednak postanowiła zaryzykować. Otworzyła i niemal w tym samym momencie potężne uderzenie w brzuch odrzuciło ją na przeciwległą ścianę. Do pokoju wpadło dwóch mężczyzn. Zdążyła zauważyć, że na twarzach mają damskie pończochy, kiedy dwa kolejne ciosy w głowę całkiem ją zamroczyły. Poczuli tylko, że bezwładnie osuwa się na podłogę, że wiążą jej ręce i wpychają jakąś szmatę do ust...

## II

Usytuowana tuż przy szosie tablica zapewniała bez cienia skromności, że spragnieni wypoczynku urlopowicze znajdą w Międzyzdrojach najczystsza plażę, najpiękniejsze morze i najlepszą pogodę na całym wybrzeżu. Andrzej Grzelecki z natury nie dowierzał podobnej autoreklamacji znanych kurortów, tym jednak razem przyjął ją z prawdziwą radością. Oto po wielogodzinnej jeździe zbliżał się wreszcie do celu swojej podróży, który nawet za kierownicą lekkiego w prowadzeniu renaulta okazała się niezwykle męcząca.

Minęła dopiero siódma i ruch w nadmorskiej miejscowości nie był jeszcze zbyt wielki. Grzelecki zwolnił i rozglądał się uważnie, by nie przegapić właściwego skrzyżowania. Na szczęście w porę dojrzał drogowy znak i pewnie skręcił w kierunku morza. Chwilę później wjeżdżał już przez okazałą bramę na teren motelu „Pod kulawym Belzebubem”. Jednopiętrowy, schludnie wyglądający budynek przyozdabiała sympatyczna skądinąd podobna rudemu diabłu ze szcudłem zamiast jednej nogi i fantazyjnie zakreconymi baraniami rogami. Nieco z boku usytuowany był parking, a dalej, między drzewami, rozsiane niezbyt gęsto eleganckie pawiloniki.

Andrzej zaparkował swego renaulta między wiśniowym oplem a białym citroenem i wysiadłszy z wozu z ulgą rozprostował kości. Nikt w motelu nie zareagował na jego przybycie, ale to go nie zraziło. Wyjął z bagażnika niewielką walizeczkę i bez pośpiechu pomaszzerował w kierunku głównego budynku. Szerokie, oszklone drzwi nie były zamknięte. Wszedł do środka i ciekawie rozejrzał się po obszernym, wyłożonym dębową boazerią holu. Po lewej stronie spostrzegł wejście do czegoś w rodzaju eleganckiej stołówki, mogącej w razie potrzeby spełniać rolę sali dancinowej, po prawej mieściły się cocktail-bar i recepcja. Właśnie z tamtej strony dobiegały jakieś hałasy, jak gdyby ktoś przesuwiał stolki i mocował się z szafą lub kredensem. Andrzej zajrzał do recepcji, nie było tam jednak nikogo. Wycofał

się właśnie do holu, kiedy w progu cocktail-baru stanął niewysoki, ale tęgi i szeroki w barach, mężczyzna o czerwonej, nieco obrzmiałej twarzy.

– Co tu się dzisiaj dzieje, do ciężkiej cholery?! – zagrział z widoczną irytacją. – Gdzie są właściciele tego interesu? Człowiek nawet nie może strzelić sobie klinika na dzień dobry, bo obsługa gnije w wyrach do południa!

– Faktycznie nikogo nie ma – zgodnie przytaknął Grzelecki. – Całą noc siedziałem za kółkiem, żeby przyjechać do tej dziury, a tu psa z kulawą nogą.

– Pan na długo?

– Na jakieś dwa, może trzy tygodnie.

– A potem?

– Trzeba będzie wracać do Warszawy – westchnął Andrzej. – Interesy tego wymagają.

– Rozumiem, rozumiem. – Tęgi mężczyzna pokiwał głową. – Urlop, niestety, kosztuje... O przepraszam! – zreflektował się nagle. – Beniamin Tomik jestem.

– Grzelecki. – Andrzej skwapliwie wyciągnął rękę. – Bardzo mi przyjemnie...

– Mnie również...

Przez kilka sekund stali w milczeniu, jak gdyby żaden nie mógł się zdecydować na podtrzymanie rozmowy. W końcu Tomik chrząknął znacząco, ale w tej samej chwili z dworu dobiegły czyjeś podniecone głosy. Spojrzeli w kierunku wyjścia. Do holu wkraczała właśnie niewysoka, szczupła blondynka koło pięćdziesiątki, której towarzyszył tęgi, łysy jak kolano jegomość w bliżej nie określonym wieku i niemal dwumetrowy dryblas o twarzy, na której trudno byłoby się doszukać choć cienia inteligencji.

– Może, kochaneczko, zadzwonić po milicję? – nieśmiało zaproponował łysy. – W końcu oni są od tego...

– Zwariowałaś?! – blondynce głos się załamał z oburzenia. – Milicja w moim motelu. Co ludzie by powiedzieli?

– Coś jednak musimy zrobić.

– Gdyby Lulek miał choć odrobinę oleju w głowie, nie byłoby teraz kłopotów – perorowała właścicielka motelu. – A przecież tysiąc razy mówiłam, żeby pilnował, aby nikt obcy nie szwendał się po terenie.

– Bóg mi świadkiem, że złapię tych bydlaków. – Dryblas z całej siły grzmotnął się w piersi, – Kości połamię, łby poukręcę...

– Dobrze, dobrze! – Lekceważąco wzruszyła ramionami. A póki co, pamiętaj, za co ci płacę. Jeszcze jedna taka wpadka i fora ze dwóra.

– Tak jest, proszę pani.

– Co się właściwie stało? – nie wytrzymał Tomik. – Niech pani uchyli rąbka tajemnicy, pani Romo.

Dopiero teraz Sawitowska spostrzegła obu mimowolnych świadków jej rozmowy z mężem i zatrudnionym na etacie dozorcę Lulką Urbakiem.

– Witam, witam, panie Beniaminie! – Uśmiechnęła się z zawodową uprzejmością. – Ranny z pana ptaszek... A szanowny pan u nas przejazdem czy na dłużej? – Obrzuciła Grzeleckiego badawczym spojrzeniem.

– Na dłużej – sucho odparł Andrzej. – Widzę jednak, że chyba nie w porę...

– Ależ skąd! – zapewniła bez cienia wahania. – Dysponujemy akurat wolnymi pawilonami, gdyby więc pan się zdecydował...

– A ten incydent?

– Jaki znowu incydent? – Spiorunowała wzrokiem Bogu ducha winnego męża i Urbaka. – Pannę Ziółkowską zawsze ekscytowało podejrzane towarzystwo, nic więc dziwnego, że w końcu spotkała ją niezbyt miła przygoda, ale to przecież nie powód, by denerwować naszych miłych gości.

– Jaką przygodę ma pani na myśli? – Tomik ponownie spróbował zasięgnąć języka. – Pan Emil przed chwilą wspominał o milicji.  
– Moje ślubne szczęście zawsze widzi wszystko przez czarne okulary – syknęła z nie tajonym zniecierpliwieniem. – Doprawdy nic się nie stało.  
– Oczywiście, że nic się nie stało – bez przekonania powtórzył Sawitowski. – Taki tam drobiazg...  
– Więc jak, dołączy pan do naszej gromadki? – Właścicielka motelu najwyraźniej nie chciała zrezygnować z nowego klienta. – Lepszej kuchni i bardziej luksusowych warunków nie znajdzie pan w całych Międzyzdrojach.  
– Prawdę powiedziawszy słyszałem o „kulawym Belzebubie” wiele dobrego.  
– Znaczący, że sprawa załatwiona. – Zatarła ręce ze szczerym zadowoleniem. – Lulek, zaprowadź pana do siedemnastki – przykazała Urbakowi. – To uroczy pawilonik... A na śniadanko zapraszamy między ósmą a dziewiątą.

### III

– Bój się Boga. Milka, jak ty wyglądasz?! – Drobną, chyba niespełna dwudziestoletnią szatynką ze współczuciem patrzyła na Ziółkowską. – Urządzili cię, dranie, oj, urządzili!  
– Przez najbliższy tydzień nikomu nie będę mogła gęby pokazać – smętnie przytaknęła Milka. – Ale to pecha. Gorzej, że zabrali mi wszystko, co miałam.  
– Dużo tego było?  
– Przeliczając na zielone, koło dwóch patyków.  
– Plus biżuteria?  
– Pierścionki były niewiele warte. Żal mi tylko bransoletki.  
– Jasna cholera!  
– Jak myślisz, Zośka, kto to mógł zrobić?  
– Mnie pytasz? – zachnęła się Wielecka. – Przecież to ty ich widziałas.  
– Mieli pończochy na gębach, a poza tym zaraz na dzień dobry porządnie oberwałam.  
– Myślisz dać znać milicji?  
– Zwariowałaś?! Jeszcze tylko milicji mi brakowało.  
– Więc co zamierzasz zrobić?  
– Sama nie wiem.  
Ziółkowska sięgnęła do saszetki po grzebień i przeglądając się w lusterku próbowała zaczesać włosy tak, by zasłoniły potężny siniak pod lewym okiem. Zośka przez dłuższą chwilę z nie tajonym sceptycyzmem przyglądała się wysiłkom przyjaciółki. Chciała już Milce poradzić, by dała sobie spokój, kiedy nagle coś musiało przyjść jej do głowy, bo z rozmachem stuknęła się w czoło.  
– Już wiem! – zawołała niemal z dziecinną radością. – Pogadam z Wazuniem. To sprytny chłopak, powinien znaleźć jakieś wyjście.  
– Myślisz o tym twoim ratowniku? – Ziółkowska najwyraźniej nie podzielała entuzjazmu Wieleckiej.  
– Właśnie.  
– Przecież on tu jest od niedawna i nikogo nie zna.  
– Niby prawda. – Zośka odrobinę posmutniała. – Siedzi w Międzyzdrojach dopiero od miesiąca.  
– Poza tym nie zapominaj, że on interesuje się tobą – ciągnęła dalej Milka – i dla dziewczyny, którą widział raz w życiu, nie zechce ściągać sobie na głowę kłopotów.  
– Tak czy inaczej nadam sprawę Antkowi – powtórzyła Wielecka. – Kupił, nie kupił, potargować można...

Wstała z krzesła i skinąwszy przyjaciółce głową na pożegnanie ruszyła do wyjścia. Ziółkowska została sama. Jeszcze przez dobrą minutę walczyła z niesfornymi włosami, niestety siniaka w żaden sposób nie zdołała ukryć. W końcu schowała grzebień do saszetki i wyciągnęła puderniczkę. Spojrzała w lusterko i nagle przemknęła jej myśl, że w gruncie rzeczy pomysł Zośki wcale nie jest taki głupi. Wprawdzie nie wierzyła zbyt w pomoc jej nowego przyjaciela, ale z drugiej strony jakieś życzliwe męskie ramię bardzo by się przydało, gdyby próby odzyskania pieniędzy i biżuterii miały nabrać realnych kształtów.

Milka sięgnęła po kalendarzyk i przez dłuższą chwilę wertowała go uważnie. W części przeznaczonej na adresy i telefony aż roiło się od nazwisk, kiedy jednak przyszło dokonać wyboru, nie mogła znaleźć nikogo odpowiedniego. Większość warszawskich znajomych dziewczyny rozjechała się po całej Polsce, a do miejscowych nie miała wystarczającego zaufania. Chciała już odłożyć kalendarzyk, kiedy wzrok jej padł na zapisane na ostatniej kartce inicjały. Przypomniała sobie spotkanego niedawno na plaży Maćka Brydla. Przed dwoma laty chłopak nie bez powodzenia zabiegał o jej względy, ale później stołeczna milicja zaczęła mu się dobierać do skóry za różne ciemne sprawy i musiał wyjechać na zachodnie wybrzeże. Od tej pory zimował w Szczecinie, a lato spędzał w nadmorskich kurortach.

Niespełna trzy kwadransy później Milka była już na moło. Dwukrotnie przemierzyła je szybkim krokiem, ale Brydla nie znalazła. Bez namysłu zajrzała do pobliskiej kawiarni. Hałaśliwy tłum wczasowiczów oblegał małe stoliczki i tłoczył się przy kontuarze w oczekiwaniu na napoje chłodzące. Dziewczyna przez kilka minut krążyła wśród wczasowiczów, jednak i tutaj nie było Maćka. Pozostawała jeszcze plaża. Postanowiła sprawdzić i tam, ale zbliżając się do wejścia zmieniła zamiar. Setki ułożonych gęsto przy sobie i prążących się w słońcu ludzkich ciał nie rokowały szans powodzenia ewentualnym poszukiwaniom. Chyba łatwiej byłoby już znaleźć igłę w stogu siana.

Z wolna zaczęło ogarniać ją zniechęcenie. Postanowiła wprawdzie, że wieczorem ponowi próby odnalezienia Brydla, ale teraz nie pozostawało jej nic innego, jak wracać do motelu. Po krótkim wahaniu ruszyła w tamtym kierunku, kiedy nagle przypomniała sobie o piwiarni przy sąsiedniej ulicy. Maciek był zagorzałym amatorem piwa i nie zdarzało się, by któregoś dnia nie wypił przynajmniej kilku butelek czy kufli. W każdym razie istniała szansa, że prędzej czy później wpadnie do „Antałka” na małe jasne.

Na pierwszy rzut oka piwiarnia sprawiała nie najgorsze wrażenie. Otaczał ją wysoki, stylowy płot z grubych bali, a pod rozpiętą między drzewami siecią rybacką stały długie stoły i ławy zbite z prostych, ledwo oheblowanych desek. Okupujące „Antałek” towarzystwo było znacznie mniej interesujące, ale to dziewczynie nie przeszkadzało. Stanąwszy w wejściu rozejrzała się bacznie iomal nie klasnęła z radości. Nieco z boku, pod samym płotem, spostrzegła zwalistą sylwetkę Brydla, dyskutującego o czymś zawzięcie z drobnym człowieczkiem w podkoszulku w marynarskie paski. Maciek zachęcającym gestem podniósł kufel i jednym haustem opróżnił jego zawartość. Ten drugi bez wahania poszedł w ślady kompana. Chwilę później obaj odstawiali już puste naczynia. Brydel rozejrzał się w miarę trzeźwym wzrokiem po piwiarni i dopiero teraz zauważył Ziółkowską.

– Siemasz, Milka! – zawołał z nie tajoną radością. – Chodź do nas. Strzelimy po piwku.

Bez dodatkowej zachęty podeszła do znajomego i na powitanie cmoknęła go w nie ogolony policzek. Chciała usiąść obok, na ławie, ale chwycił ją jak piórko i ulokował na swoich kolanach. Na odległość ział alkoholem, co nie przeszkadzało jej jednak kokieterijnie objąć go tą szyję i niby od niechcenia przejechać czubkiem nosa po spoconej łysinie.

– No gadaj, jak ci leci? – uśmiechnął się przyjaźnie. – Z twoją buzią i figurką chyba nie najgorzej?

– Do tej pory nie mogłam narzekać – odparła, dotykając znacząco podsiniaczonego oka.

– Dopiero dzisiaj rano spotkała mnie paskudna przygoda.

– Jezus, Maria! – Kompan Brydla aż złapał się za głowę. – Kto panią tak urządził?!

– Szepnij tylko słówko, a gość powącha kwiatki od korzonków. – Maciek natychmiast spoważniał, a jego mina świadczyła wymownie, że groźba nie została rzucona na wiatr. – A Gutka nie musisz się krępować – dodał widząc niezdecydowanie w oczach Ziółkowskiej. – To równy gość. Przewróciliśmy razem niejedną flaszkę.

Argument nie należał wprawdzie do przekonujących, ale dziewczynie przemknęła myśl, że właściwie niczym nie ryzykuje opowiadając o swych kłopotach przy Gutku.

– Sam siniak, to jeszcze głupstwo – przystąpiła do rzeczy bez dalszych wstępów. – Gorzej, że zabrali mi przeszło dwa tysiące dolców w różnych zachodnich walutach i biżuterię.

– Kto?

– Żebym ja wiedziała. – Bezradnie rozłożyła ręce. – Mogę wam tylko powiedzieć, że było ich dwóch. Mieli pończochy na gębach i na samym początku tak mi przyłożyli, że później nie kojarzyłam już, co się ze mną dzieje.

– Przyszli do ciebie do motelu?

– Właśnie.

– O której?

– Ledwo zaczęło świtać.

– Podejrzewasz kogoś?

– Sama nie wiem.

– Ale myślisz, że to byli miejscowi?

– Znali moje imię. Zresztą nikogo innego w motelu nie obrobili.

– Zwiedzieli się, żeś szmalcowna dziewczyna, a dalej można już sobie dośpiewać.

– Coś mi to wygląda na Staśka Docenta – wtrącił się Gutek. – W zeszłym miesiącu też oskubał taką jedną ze Szczecina.

– Docent nie bierze współników i rzadko bije. – Brydel pokręcił głową z powątpiewaniem. – Już bardziej pasuje Krzywy Zdzisio... Ale, ale! – przypomniał sobie nagle i spojrzał na Milkę jakoś inaczej niż przed chwilą. – Z szukaniem tych facetów może być sporo zachodu...

– Odbierzcie dolce i złoto, to się podzielimy – zaproponowała bez zająknięcia.

– Fifty-fifty?

– Jasne.

– Tak to co innego – rozpogodził się Maciek. – Umowa stoi!

– Wiedziałaś, że mogę na ciebie liczyć. – Cmoknęła Brydla w łysinę. – A gdybyś miał coś dla mnie, to mieszkam w jedenastce.

## IV

„Raz kozie śmierć”. Andrzej zacisnął zęby i z determinacją dał dwa duże kroki do przodu. Całą siłą woli zmusił się, by natychmiast nie podskoczyć. Niemal w tej samej chwili jakaś mizerna w gruncie rzeczy fala zmoczyła mu kąpielówki. Mimo panującego upału poczuł na plecach gęsią skórkę. Po przeszło trzygodzinnym prażeniu się na słońcu Bałtyk przypominał mu wodę z przerębła.

Grzelecki zamknął oczy i znowu posunął się w głąb morza, ale teraz już tylko o jeden krok. Dno opadało tu trochę bardziej zdecydowanie i kolejna fala sięgnęła mu do pępka. Z trudem powstrzymał cisnące mu się na usta przekleństwo i nabrawszy w obie dłonie wody prysnął nią na piersi. Niestety, przecenił swoje siły. Rozpalone słońcem ciało zadygotało niczym w febrze i Andrzej zupełnie odruchowo cofnął się przed nadbiegającym właśnie grzywaczem.

– Fe! Co za tchórz! – Zadźwięczał mu nad uchem pełen ironii dziewczęcy śmiech. – Uważaj, staruszku, bo ci szczęka ze strachu wypadnie!



Urażony do żywego chciał się jakoś odgryźć, ale w tej samej chwili poczuł na plecach strumień lodowatej wody. Odwrócił się i następna fontanna sięgnęła mu twarzy. Spozrzegł wysoką, nieprzeciętnie zgrabną dziewczynę w bikini. Z wrażenia zamrugał powiekami, by niczego nie uronić z kształtów dwudziestolatki, ta jednak najwyraźniej nie miała zamiaru zaniechać sadystycznej zabawy. Kolejny prysznic na moment oślepił Grzeleckiego. Niemal po omacku skoczył w stronę figlarki. Już, już miał ją chwycić za rękę, kiedy zupełnie nieoczekiwanie poczuł na szyi uścisk zimnych ramion i pociągnięty ciężarem napastniczki jak długi zwałił się do wody.

Prychając niczym mors dzwignął się na nogi. Dziewczyna była już dobrych dwadzieścia metrów dalej, tak że woda sięgała jej do piersi. Ze śmiechem zagrała Andrzejowi na nosie i rzuciwszy się w morze odpłynęła od brzegu. Bez chwili wahania ruszył za nią. Przymusowe nurkowanie oswoiło go z wodą na tyle, że przestał trząść się z zimna, a żart dziewczyny, choć zdecydowanie nazbyt obcesowy, mógł stanowić nie najgorszy pretekst do nawiązania znajomości.

Pływała nadszpodziewanie dobrze i choć Grzelecki, oprócz momentów zanurzania, był zawsze z wodą za pan brat, minęło kilka minut, nim ją dogonił. Popatrzyła na niego przekornie i chciała zapewne rzucić jakimś złośliwym dowcipem, kiedy Andrzej dał nurka. Na moment zatrzymała się niezdecydowana i to mu wystarczyło. Chwycił dziewczynę w pasie i mocno pociągnął w dół. Puścił ją prawie natychmiast, ale i tak musiała się porządnie przestraszyć, bo wynurzając głowę spostrzegł, że nerwowo trzepoce rękami.

– Co ty?! – pisnęła, krztusząc się morską wodą. – Nie wygłupiaj się!

– Tylko nie krzycz, bo mi ze strachu szczeka wypadnie – Nie mógł zrezygnować z drobnej złośliwości. – Tacy starszuszkiwie jak ja, okropnie boją się płaczu niemowlaków.

W pierwszym momencie oczy dziewczyny błysnęły niemal wrogo, sekundę później parsknęła jednak niepohamowanym śmiechem. Żart najwyraźniej musiał być trochę w jej stylu. Zdecydowanym ruchem podpłynęła do Grzeleckiego i chwyciła go za włosy.

– To ty taki? Zawsze musi być twoje na wierzchu?

– Jasne.

– A jeśli cię wytargam?

– To dostaniesz klapsa.

– Tutaj, w wodzie?

– Czemu nie. Mokną pupę bije się równie dobrze jak suchą.

– Brutal!

Na moment przykryła ich nieco większa fala. Kiedy Andrzej mógł znowu wynurzyć głowę, dziewczyna już nie trzymała go za włosy. Przewróciła się na plecy i wzbijając nogami fontanny wody próbowała płynąć dalej, w głąb morza. Jak łatwo było przewidzieć, popis nie trwał długo. Kolejna fala obróciła pływaczkę i pchnęła ją niemal w ramiona Grzeleckiego.

– Teraz już nieprędko odczepisz się ode mnie – parsknęła śmiechem. – Z morzem nie ma co dyskutować.

– Uważaj, bo jeśli się zgodzę, niebawem możesz tego gorzko żałować. Sam nie wiesz, co bierzesz na swoją biedną głowę.

– Nie będzie chyba aż tak źle...

Nie czekając na koniec wypowiedzi Andrzeja dała nurka. Zamierzał pójść w jej ślady, powstrzymał go jednak ostry, przenikliwy dźwięk gwizdka. Obejrzał się i spostrzegł płynącą w ich kierunku białą łódkę z wyraźnym niebieskim krzyżem na dziobie.

– Dokąd to państwo się wybieracie? – Niezbyt wysoki, ale solidnie umięśniony blondyn w podkoszulku z podobnym jak na łódce krzyżem nie krył swego niezadowolenia. – Minęliście ostatnią boję o bite dwieście metrów.

– Więc człowiekowi już nawet utopić się nie wolno? – prowokacyjnie odparła dziewczyna, wystawiając głowę z wody tuż przy burcie łódki. – A może mi powiesz, do kogo trzeba złożyć stosowne podanie?

– Topielcy mile widziani, ale u konkurencji – przyszedł w sukurs koledze nieco od niego starszy szatyn z wyraźnymi zaczątkami brzuszka. – Na naszej plaży wszystko musi grać jak w zegarku.

– Kup sobie trąbkę, skoro lubisz muzykę.

Teraz dziewczyna przeciągnęła strunę. Starszy z ratowników poczerwieniał ze złości i zażądał tonem nie znośnym sprzeciwu:

– Proszę natychmiast wejść do łódki!

– Też coś! – prychnęła z pogardą. – Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić.

– Daj spokój, Elka! – Z łódki wychyliła się Wielecka. – Nie pyskuj, bo Antek z Jackiem gotowi cię naprawdę wyciągnąć z wody.

– Znasz tę małą? – Jasnowłosy ratownik popatrzył na Zośkę pytająco.

– Mieszkamy w jednym motelu.

– To zmienia postać rzeczy...

– Niekoniecznie – zaoponował Kucicki. – Znajoma czy nie i tak powinna przestrzegać przepisów.

– Wstrętny, stary rep! – zagulgotała Elżbieta, – Pilnuj lepiej swego brzucha.

– Ale ci, Jacyś, powiedziała! – Wazuń z uciechy klepnął się po udach. – Teraz nie masz już u niej żadnych szans.

– I tak by nie miał – wtrącił się milczący do tej pory Grzelecki. – Ja pierwszy oberwałem od niej po krzyżu i nie myślę nikomu odstępować kolejki.

Chociaż jeden prawdziwy dżentelmen w tym gronie. Słowa Andrzeja najwyraźniej poprawiły Elżbiecie humor. – Trzymam zakład, że gdyby przyszło co do czego, on prędzej wybawiłby mnie z opresji niż tuzin etatowych ratowników.

Nie oglądając się na łódkę dała nurka pod wodę. Wazuń i Wielecka parsknęły śmiechem, a Kucicki siedział na swoim miejscu z miną żywo przypominającą chmurę gradową...

Minęło dobre pół godziny, nim Elżbiecie znudziło się pływanie. Grzelecki również miał już dosyć morskiej wody, więc oboje zgodnie ruszyli do brzegu. Tu Andrzej zaczął rozglądać się za swoim kocem i ręcznikiem, ale dziewczyna nawet nie chciała słyszeć o pożegnaniu. Chcąc nie chcąc, musiał ustąpić, zwłaszcza że niemal siłą zaciągnęła go do sporego grajdołka ograniczonego dwoma kosztami i jaskrawym parawanem.

– Zobacz, tatusiu, kogo złowiłam na wędkę. – Na moment przywarła całym ciałem do brzuchatego mężczyzny koło sześćdziesiątki. Andrzej świetnie pływa i obiecał, że jutro znowu wypuścimy się na szerokie wody.

– Jezus, Maria! – Tosiński aż się wzdrygnął. – Jakaś ty zimna!

– Hartuj się, staruszkule! – Ze śmiechem zaczęła poklepywać ojca po plecach, – Najwyższy już czas!

– Połamiesz mi kości! – jęknął Tosiński. – Nie możesz w inny sposób okazywać uczuć rodzinnych?

– Też coś! – prychnęła udając obrażoną. – Andrzej byłby zachwycony.

– Więc klep go do woli, póki nie ucieknie.

– On nie z tych, którzy tak szybko uciekają.

– Czyżby?

– Grzelecki – przedstawił się Andrzej. Pozwolę sobie zauważyć, że faktycznie jestem dość odporny.

– Góra z górą! – Z jednego z koszy wyskoczył Tomik. – Jak się okazuje, goście „kulawego Belzebuba” zawsze ściągają w jedno miejsce.

– To on u nas mieszka? – Tosińska z niedowierzaniem potrząsnęła głową.  
– Od dzisiaj. – Tomik był dumny, że ma tak świetne informacje. – Pan Grzelecki przyjechał przed ósmą i właśnie miałem przyjemność go poznać.  
– Serio?  
– Dostałem pawilon numer siedemnaście – potwierdził Andrzej.  
– Ależ to cudownie! – Z uciechy klasnęła w dłonie.  
– Jak dla kogo. – Wysoki, dość szczupły szatyn koło czterdziestki żałośnie pociągnął nosem. – Teraz moje szanse u pani Eli spadną do zera.  
– A fe, panie Romeczku! – Za parawanem pojawiła się również Wielecka. – To ja już pana nie interesuję?

Pani jest oblegana przez tego nowego ratownika – westchnął Rydzewski, nerwowo obracając tkwiący na serdecznym palcu prawej ręki wielki srebrny sygnet. – Nawet dzisiaj prawie przez cały czas przebywała pani w jego towarzystwie. Nie wymawiając, wróciła pani do nas dosłownie przed chwilą.

– O Wazunia nie musi być pan zazdrosny. – Zośka jak gdyby odrobinę się zarumieniła.  
– Antek wszędzie taszczy ze sobą przyzwoitkę, czyli swego kuzyna, Kucickiego.

– Z dwojga złego już sam wolałbym być tą przyzwoitką. Przynajmniej mógłbym na panią patrzeć.

– Mój ty biedaku! – Wielecka przybrała minkę pełną rzekomego współczucia. – Faktycznie musi być pan nieszczęśliwy... Ale da Bóg, że kiedyś to panu wynagrodzę...

Tosińska parsknęła niepohamowanym śmiechem, a panowie, prócz Rydzewskiego, zawtórowali jej głośno i rubasznie. Zośka miała wprawdzie szczery zamiar udać oburzenie z powodu zachowania znajomych, ale w końcu i jej nie udało się zachować powagi. Całe towarzystwo rechotało w najlepsze, kiedy skonfundowany pan Roman ostentacyjnie popatrzył na zegarek.

– Wy tu podkpiwacie z mojego strapienia – mruknął zgryźliwie – a tymczasem obiad przejdzie nam koło nosa. Dobrze wiecie, że pani Sawitowska nie toleruje spóźnialskich.

Poskutkowało. Nawet w takim kurorcie jak Międzyzdroje z wyżywieniem były w tym roku kłopoty, toteż nikt nie chciał ryzykować spóźnienia na obiad. Natychmiast wszyscy zapomnieli o wzajemnych docinkach i niespełna kwadrans później towarzystwo opuszczało plażę.

Przed głównym budynkiem motelu było rojno. Widać tutejsza stołówka służyła nie tylko gościom „kulawego Belzebuba”, ale i innym wczasowiczom. Pani Roma Sawitowska, jak na dobrą gospodynię przystało, stała w progu lokalu, lustrując baczным spojrzeniem wchodzących i wychodzących. Na widok objuczonego parawanem Tosińskich Grzeleckiego uśmiechnęła się przyjaźnie. Już miała go o coś zagadnąć, kiedy przed budynkiem zawarczał silnik jasnoblękitnego porsche’a. Właścicielka motelu poderwała się niczym na sprężynie i najwyraźniej zapomniała o innych gościach. Andrzej zupełnie odruchowo obejrzał się w stronę parkującego właśnie samochodu.

– Przyjechał Oklund – rzeczowo poinformowała go Elżbieta. – Podobno cholernie dziany facet. Jest właścicielem firmy zajmującej się przetwórstwem ryb czy czegoś w tym rodzaju...

– Witamy, witamy! – Sawitowska ruszyła tanecznym krokiem do wysiadającego z wozu wysokiego, w miarę szczupłego blondyna. – Wszyscy stęskniliśmy się za panem. Obiecał pan wrócić za tydzień, a tymczasem nie było pana prawie miesiąc.

– How do you do, Mrs. Roma! – Oklund pozdrawiającym gestem podniósł prawą rękę do góry. – Ja również stęskniłem się za pani kuchnią i polską wódką. Ale cóż poradzić: business is business.

## V

Brydel zdecydowanym ruchem pchnął szerokie, pokryte spękaną farbą drzwi i wkroczył do mrocznej, niezbyt obszernej sieni. Uderzył go zastarzały odór przypalonej kapusty połączony z wódczanymi wyziewami i stęchłym zapachem piwnicy. W głębi wisiała brudna kotara w bliżej nie określonym kolorze, zza której dobiegały głośne, pijackie okrzyki. Maciek uśmiechnął się pod nosem na samą myśl o czekających go godzinach w „Popularnej”. Zawsze lubił podobną atmosferę i gdyby to tylko od niego zależało, najchętniej spędziłby pół życia w podrzędnych knajpach o możliwie kiepskiej reputacji.

W ciemnej, zadymionej salce było rojno. Brydel przez dłuższą chwilę rozglądał się bacznie dokoła. Zgodnie ze swoimi przewidywaniami przy jednym ze stolików spostrzegł szpakowatego mężczyznę z pokaźną szramą na lewym policzku i charakterystycznie skrzywionym nosem. Razem z Krzywym Zdziśkiem siedzieli dwaj niewysocy blondyni o podobnych do siebie, pokrytych dziobami po wietrznej ospie, twarzach. Czwarte krzesło przy stoliku szczęśliwym trafem było wolne...

– Serwus, stara mordo! – Brydel bez pytania rozsiadł się na wolnym miejscu. – Jak leci?

– Pomaleńku. – Zdzisiek przyjął nieoczekiwane towarzystwo bez entuzjazmu, ale i bez specjalnej niechęci. – Żyje się.

– Zrobimy po szczeniaku?

– Czemu nie.

– A wy? – Brydel popatrzył pytająco na braci Krysiaków.

– Może Janek – nie bez wahania odparł starszy. – Ja zaraz się zmywam.

– Jakaś partaninka?

Krysiak w odpowiedzi wzruszył ramionami, Maciek uznał więc, że lepiej nie nalegać. Wstał od stolika i bez pośpiechu ruszył w stronę szynkwasy, gdzie tleniona blondynka o rubensowskich kształtach wprawnie żonglowała butelkami. Na swoją kolejkę nie czekał nawet minuty. Bufetowa wykrzywiła grube usta w zalotnym uśmiechu i nalawszy do trzech szklanek po pięćdziesiątce wódki dopełniła je piwem. Płacąc zerknął dyskretnie za siebie. Przy stoliku Krzywego Zdziśka nie było już żadnego z Krysiaków. W pierwszym momencie pomyślał, że mógłby teraz jedną ze szklanek wypić na miejscu, przy szynkwasiu, ostatecznie zdecydował się jednak zamówić czwartą porcję.

– Od razu skoczmy na obie nóżki – zaproponował chwilę później podsuwając Zdziśkowi dwie szklanki. – Krysiaki nie chcieli, niech więc będzie ich strata.

– Zdrówko! – Krzywy bez namysłu sięgnął po piwo z wódką. – Oby nam się!

Wypili. Przez dobre pół minuty przy stoliku panowało milczenie. Zdzisiek jakoś dzisiaj nie należał do rozmownych, a i Brydel nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Sytuacja stawała się niezręczna. W końcu Maciek przysunął do siebie drugą szklankę i zaczął niby od niechcenia.

– Wiesz, Krzywy, wczoraj trafiłem w „Antałku” cholernie dzianego faceta.

– Stawiał? – zainteresował się Zdzisiek.

– Mnie postawił.

– Dużo?

– Nie w tym rzecz – sprostował Brydel. – Widzisz, on byłby chętny na jakieś błyskotki.

– Też mi nowina! – Krzywy roześmiał się na całe gardło. – Pokaż mi, kto dzisiaj nie pyta o złoto.

– On by nieźle zapłacił.

– W czym więc problem?

– Tak się głupio złożyło, że akurat nie mam nic na zbyciu.

– Pogadaj z chłopakami.

– Rano widziałem się z Tomkiem Rybką, później byłem u Gutka.

– No i co?

– Poradzili mi ciebie.

– Dlaczego właśnie mnie?

– Nie pytałem. – Maciek porozumiewawczo przymrużył oko. – W końcu ważne jest, że masz towar, a skąd, to już nie moja sprawa.

Zdzisiek przez kilkanaście sekund przyglądał się Brydłowi, jak gdyby widział go po raz pierwszy w życiu. W końcu ostentacyjnie wzruszył ramionami i wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Albo ty mi kit wciskasz, albo Tomek z Gutkiem zrobili z ciebie idiotę.

– Co takiego?

– A to, że od miesiąca nie miałem w garści żadnych świcideltek.

Jednym haustem opróżnił drugą szklankę i nie patrząc na Maćka wstał od stolika.

Najwyraźniej zamierzał opuścić „Popularną”, po kilku krokach zatrzymał się jednak, jak gdyby sobie o czymś przypomniał albo kogoś zobaczył. Brydel rozejrzał się uważnie po sali i nagle zrozumiał. W progu, przy kotarze, stał Gutek.

Krzywy, jak gdyby nigdy nic, pokiwał Gutkowi na powitanie i wskazawszy mu zapraszającym gestem stolik ruszył w stronę szynkwasu. Chwilę później wszyscy trzej siedzieli już przy półlitrowce. Zdzisiek rozlał wódkę do szklanek i nie zwracając uwagi na brak zakąski gładko opróżnił swoje naczynie. Maciek z Gutkiem bez wahania poszli w jego ślady. W butelce zostało jeszcze sporo i Krzywy miał właśnie zamiar rozlać drugą kolejkę, kiedy Gutek nachylił mu się do ucha.

– Słyszałeś, że w motelu Romy Sawitowskiej obrobili jedną mewkę? – zapytał konfidencjonalnym szeptem.

– Zdarza się. – Zdzisiek nie zdradzał jakoś większego zainteresowania.

– Dziewczyna oberwała po czerepie, a potem zabrali jej dolce.

– Dużo?

– Coś ze dwa patyki.

– Zawsze trochę grosza – przyznał Krzywy. – Choć wcale nie takie znowu halo...

Słyszałeś, kto ją załatwił?

– Jakichś dwóch.

– Miejscowi?

– Diabli wiedzą.

Zdzisiek wzruszył ramionami na znak, że uważa temat za wyczerpany, i sięgnąwszy po butelkę zaczął rozlewać resztę wódki. Chwilę później zachęcającym gestem podniósł swoją szklankę.

– Pies trącał mewki i ich dolce – rzucił lekko. – Oby nam się!

Wypili. Gutek poderwał się z miejsca, by przynieść kolejną butelkę, ale Krzywy najwyraźniej nie miał zamiaru czekać, aż tamten wróci do stolika, bo skinął Brydłowi na pożegnanie i ruszył do wyjścia. Maciek przez dobre pół minuty spoglądał bezmyślnie na kotarę, za którą zniknął niedawny kompan. Był już niemal zdecydowany spędzić resztę wieczoru pijąc z Gutkiem na umór, kiedy przyszło mu nagle do głowy, że w gruncie rzeczy Krzywy musi coś mieć na sumieniu. Przez moment wahał się jeszcze, w końcu jednak podjął decyzję i nie oglądając się na Gutka ruszył w ślad za Zdziśkiem.

Na dworze było zupełnie ciemno. W pobliżu paliła się tylko jedna latarnia i musiało minąć kilkanaście sekund, nim wzrok Brydla przyzwyczaił się do nowych warunków. Ulica była niemal pusta. Maciek przez dłuższą chwilę lustrował baczny spojrzeniem nielicznych przechodniów, nigdzie jednak nie dostrzegł nawet śladu Krzywego. Zrezygnowany zamierzał wrócić do „Popularnej”, kiedy zza rogu sąsiedniego budynku wyłoniła się sylwetka jakiegoś niewysokiego mężczyzny. Brydel zamarł w bezruchu. Nie widział twarzy tamtego, z wolna

zaczynał jednak nabierać pewności, że to jeden z braci Krysiaków. Nerwowo zatarł ręce i wolnym krokiem poszedł w jego kierunku.

Początkowo mężczyzna zdawał się nie zwracać na Maćka uwagi, gdy jednak Brydel podszedł nieco bliżej, spieszenie wycofał się za róg budynku. Było tu coś w rodzaju wąskiego, ograniczonego z dwóch stron drewnianym płotem podwórka. W głębi majaczyły kontury jakiejś niedbale skleconej szopy, przed którą leżały porzucone w nieładzie beczki. Charakterystyczny, ostry zapach świadczył wymownie, że stosunkowo niedawno musiano tu przetrzymywać większą partię solonych śledzi. Maciek przystanął pośrodku podwórka i przez dłuższą chwilę bezradnie rozglądał się dokoła. Nigdzie nie było żywego ducha, a przecież widziany dopiero co mężczyzna nie mógł tak po prostu rozpląnąć się w powietrzu. Brydel kopnął ze złością jedną z beczek. Potoczyła się kilka metrów, uderzając z łoskotem o sąsiednią. Wyglądało na to, że obydwie są puste.

Nagle w szopie zatrzeszczała jakaś deska. Oczywiście mógł być to jedynie przypadek, ale Maciek nie wahał się ani sekundy. Już wcześniej dostrzegł w krótszym boku szopy wąskie drzwiczki. Teraz pobiegł do nich i zdecydowanie naparł ramieniem. Ustąpiły. Zajrzał do środka. Było tam jeszcze ciemniej niż na dworze. Przekraczając próg szopy sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. Pierwsza złamała się przy pocieraniu o draskę. Namacał w pudełku drugą, ale w tym samym momencie poczuł, że szopa wali mu się na głowę.

## VI

– No cóż, panowie, jak tak dalej pójdzie, będę musiał zamknąć interes. – Rydzewski perorował żywo gestykulując. – Surowca nigdzie nie uświadczysz, najmarniejszy pracownik kosztuje krocie, a podatki tak się dzisiaj ustala, żeby każdego doprowadzić do ruiny. Człowiek żyły sobie wypruwa, a nie może wyjść na swoje.

– W pańskich plastykach nie jest jeszcze najgorzej. – Pokręcił głową Tomik. – Spróbowałby pan w branży cukierniczej. Od pół roku praktycznie dokładam do każdego ciastka.

– Teraz nigdzie nie jest lekko – wtrącił się Tosiński. – To wszystko tak mi dojadło, że na jesieni nieodwołalnie likwiduję swoją wytwórnię wód gazowanych. Na państwowej posiadce zarobię tyle samo, a zamiast tyrać od świtu do nocy będę leżał do góry brzuchem.

– Woda nie jest jeszcze przynajmniej na kartki – nie ustępował Tomik. – Ja po przydział na każde deko mąki czy cukru muszę dyrdać do urzędu dzielnicowego z kopertówką.

– Co za czasy!

– Zdaje się, że nasi panowie mają zamiar przez cały wieczór płakać nad stanem swoich interesów – bezceremonialnie przerwała Wielecka. – Tylko za jakie grzechy my musimy tego słuchać?

– Święte słowa, pani Zosiu, święte słowa! – Tęga blondynka koło czterdziestki głośno klasnęła w pulchne dłonie. – Mężu, przywołuję cię do porządku! – Szturchnęła łokciem Tomka. – Czy poza ciastkami i pieniędzmi nic już dla ciebie nie istnieje na tym świecie?

– Słucham, kochanie?

– Może wypilibyśmy zdrowie pań? – zaproponował milcząco do tej pory Grzelecki.

– Jasne! – Rydzewski ochoczo zastukał sygnetem w kieliszek. – Na bok smutki, kiedy jesteśmy w tak uroczym towarzystwie. W pani rączki, pani Zosieńko!

– A jednak raczył pan sobie o mnie przypomnieć. – Wielecka wyduła wargi z udaną urazą. – Powiadają, że lepiej późno niż wcale.

– Ależ, pani Zosieńko...

– Zdrowie pięknych pań po raz pierwszy!

Mężczyźni skwapliwie podnieśli kieliszki. Niemal w tym samym momencie światło nieco przygasło i z umieszczonej w rogu sali kolumny popłynęły dźwięki modnego przeboju. Po kilku taktach od stolików ruszyły pierwsze pary, a niespełna minutę później na parkiecie było już całkiem tłoczno. Jak co wieczór stołówka motelu „Pod kulawym Belzebubem” zamieniała się w hałaśliwą dyskotekę.

Grzelecki mrugnął znacząco do Tosińskiej i miał właśnie zamiar poprosić ją do tańca, kiedy siedzący obok Tomik stuknął go w ramię.

– Przepraszam, że pytam, panie Andrzeju – zaczął grubas niezręcznie – ale co pan właściwie robi? Od powrotu z plaży zastanawialiśmy się nad tym z Rydzewskim i żaden z nas nie mógł zgadnąć.

– W zeszłym roku uruchomiłem wytwórnię galanterii metalowej – odparł Grzelecki. – Produkuje klamki, okucia, wieszaki i inne drobiazgi w stylu retro.

– Jak pan na tym wychodzi?

– Mówiąc szczerze, nie najlepiej. Wprowadzie snobów nie brakuje i towar idzie jak woda, ale z surowcem krucho.

– Przydałby się panu kontakt z jakąś składnicą złomu metali kolorowych.

– Kontakt to ja mam. – Andrzej smutno pokiwał głową. Cóż, kiedy faceta interesuje wyłącznie twarda waluta.

– Znam ten problem.

– A propos! – Grzelecki z pozorną obojętnością sięgnął po papierosy i zachęcającym gestem podsunął Tomikowi paczkę Marlboro. – Nie orientuje się pan, jak teraz na wybrzeżu stoją zielone?

– Ostatnio dolców nie kupowałem, ale podobno tutejszy kurs niewiele różni się od warszawskiego.

– Jasna cholera! – Andrzej zapomniał o obecności pań. – Liczyłem, że zaoszczędzę kilka groszy, a tu guzik.

– No cóż, waluciarze wszędzie są tacy sami i zawsze zdzierają z człowieka skórę.

– Innymi słowy nie pozostaje mi nic innego, jak zacisnąć zęby i płacić bajońskie sumy za każdego dolara.

– Chyba że... – Tomik na moment jakby się zawahał.

– Chyba że co? – podchwycił Grzelecki.

– Ewentualnie mógłby pan pogadać z którymś z obcokrajowców.

– Ma pan na myśli kogoś konkretnego?

– Choćby Oklunda albo Svensona. Duńczyk jest akurat na miejscu, a i Szwed pewno niebawem wróci do naszego motelu.

Z głośników popłynął kolejny modny przebój. Andrzej zerknął na Tosińską. Wierciła się niespokojnie na krześle, dając do zrozumienia, że nie zamierza spędzić całego wieczoru przy stoliku.

– Zatańczymy? – zapytał przymilnie.

Bez słowa podniosła się z miejsca i posłusznie ruszyła za Grzeleckim na środek parkietu. Objął dziewczynę i przytulił mocno do siebie. Uśmiechnęła się ciepło. Zachęcony pocałował ją w policzek, chętnie nadstawiła drugi, kiedy jednak poszukał jej ust, odskoczyła jak oparzona.

– Przecież ja nie gryzę! – nie mógł powstrzymać się od żartu.

– Kto cię tam wie – odparła z przekornym błyskiem w oku. – Chłopom lepiej nie dowierzać.

– Inne dziewczyny jednak ryzykują.

– Ich sprawa.

– A ty zawsze jesteś taka święta?

– Nie zawsze.

– W czym więc problem?  
– Tatusz patrzy.  
– Czyżbym na zwykłego buziaka musiał poczekać, aż ojczulek pójdzie lulu?  
– On zwykle kładzie się później ode mnie.  
– Szkoda.  
– Prawdziwy mężczyzna zamiast biadolić znalazłby sposób, aby osiągnąć to, co sobie wymarzył...

Ostatnie słowa Tosińskiej stanowiły niemal jawną prowokację, toteż Andrzej bez chwili wahania chwycił ją mocno w ramiona i zakręciwszy kilka razy w takt muzyki zdecydowanie pocałował w usta. Jak gdyby na zamówienie w tym momencie zgasło światło i tylko w rogach sali zaczęły błyskać kolorowe lampki. Jednocześnie muzyka zagrała znacznie głośniej, uniemożliwiając wszelką rozmowę.

Przez dobry kwadrans na parkiecie królowały ostre, rockowe rytmy. Niektórzy, zwłaszcza co starsi tancerze, zaczęli już wyraźnie ustawać, kiedy muzyka nieco przycichła i z głośników popłynęło nastrojowe tango. Elżbieta ufnie przytuliła się do Grzeleckiego. Delikatnie pogładził ją po włosach i chciał właśnie szepnąć do ucha jakiś komplement, kiedy spostrzegł tuż obok Wielecką, ostentacyjnie obejmującą za szyję jakiegoś tęgiego, zażywnego jegomościa o pokaźnej łysinie.

– Komu się tak przyglądasz? – fuknęła Tosińska z niezadowoleniem. – Mało ci jednej dziewczyny? Szukasz następnej do haremu?

– To raczej Zośka kolekcjonuje wielbicieli – odparł lekko. – A swoją drogą współczuję Rydzewskiemu.

– Też coś! – Pogardliwie wzduszyła ramionami. – Niech się facet cieszy, że Zośka w ogóle chce na niego spojrzeć.

– Nie lubisz panów w średnim wieku?

– Wolę takich jak ty. – Znowu była w humorze. – Nie powiesz chyba, że nie mam racji?

– Oświadczyły wypadły uroczo...

– Wstręciuch! – Żartobliwie pogroziła mu palcem. – Dziewczyna powie słowo, a ty zaraz wyobrażasz sobie Bóg wie co.

Oboje parsknęli beztróskim śmiechem. Andrzejowi przemknęła myśl, że jego partnerka, choć chwilami nieokrzesana i szokująco bezpośrednia, może łatwo zawrócić mu w głowie. Uważnie popatrzył Tosińskiej w oczy. Wydało mu się, że dostrzega w nich coś więcej niż zwykłą sympatię.

– Wiesz, chciałabym teraz uciec od ludzi, dyskoteki i tego całego zgiełku – szepnęła. – Zabierz mnie stąd.

– Choćby na koniec świata!

– Wystarczy nad morze. Przy księżycu jest jeszcze piękniejsze niż w blasku słońca...

Opuszczając salę Grzelecki zerknął w stronę swojego stolika. Zgromadzone tam do niedawna towarzystwo rozpierzchło się bez śladu. Na placu boju został jedynie Tosiński opowiadający coś właśnie z wielkim ożywieniem ognistej brunetce koło trzydziestki. Andrzej porozumiewawczo uśmiechnął się do Elżbiety. Wyglądało na to, że jej ojciec znalazł sobie zajęcie na dzisiejszy wieczór i wbrew zapowiedziom córki nie ma najmniejszego zamiaru pilnować swojej latorośli.

Noc była ciepła i parna, tylko od morza dochodziły z rzadka ożywcze powiewy. Grzelecki objął dziewczynę w pól i poprowadził między rozsiane wśród drzew pawilony. Po kilkunastu krokach dostrzegli furtkę w płocie okalającym teren motelu. Andrzej otwierał ją właśnie, kiedy Tosińska trąciła go znacząco.

– Tak żałowałaś Rydzewskiego – zauważyła nie bez złośliwości – a tymczasem facet już zdążył się pocieszyć. Zośka ma rację, że nie traktuje serio jego umizgów.



Pawilon Rydzewskiego był usytuowany niespełna pięćdziesiąt metrów od furtki, widzieli więc wyraźnie palące się wewnątrz światło i przesuwające się na tle firanki cienie dwóch ludzkich postaci. Elżbieta miała zamiar dorzucić jeszcze kilka cierpkich uwag na temat Rydzewskiego, ale Grzelecki wzruszył ramionami na znak, że nie uważa tego, co zobaczyli, za godne komentarza. Dziewczyna mruknęła coś pod nosem, w końcu dała za wygraną i ruszyli zgodnie wąską ścieżką prowadzącą w kierunku wybrzeża.

Niespełna dziesięć minut później dotarli do szczytu stromej skarpy, u podnóża której rozciągała się plaża. Dalej było widać granatowoczarne, groźnie szumiące morze. Fale piętrzyły się teraz znacznie wyżej niż za dnia i zalewając szeroki pas plaży sięgały porzuconych bezładnie koszy do opalania. Jakaś zerwana boja niezdarnie turlała się po piasku, pobrząkując metalicznie w rytm uderzeń nacierającego na brzeg Bałtyku.

– Jak tu fajnie, kiedy nie ma ludzi! – Tosińska przytuliła twarz do ramienia Andrzeja.

– Tylko nas dwoje i morze.

– I zdrajca księżyc...

– Nie martw się, on nikomu nie powtórzy.

– Jesteś pewien?

– Spróbujmy zaryzykować.

Grzelecki objął dziewczynę i delikatnie pocałował w usta. Tym razem odwzajemniła pieszczotę. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Elżbieta uśmiechnęła się przekornie.

– Nie zaprosiłbyś mnie do siebie? – spytała bez cienia skrępowania. – Jeszcze nie widziałam, jak się urządziłeś.

Z iście indiańskim okrzykiem porwał ją w ramiona i podniósł do góry.

– Tylko bez takich fanfar! – zastrzegła pół żartem, pół serio. – Ja nie Zośka, nie chcę, żeby jutro cały motel plotkował na mój temat.

– Będę cichutko jak mysz pod miotłą – obiecał, stawiając Tosińską na ziemi.

– Pamiętaj! – Pocałowała go w policzek.

Po kilku minutach byli już z powrotem na terenie motelu. W pawilonie zajmowanym przez Rydzewskiego dalej paliło się światło, a uchylone drzwi cicho poskrzypywały na wietrze. Andrzej pewno nawet nie spojrząłby w tamtą stronę, ale Elżbieta ani myślała zrezygnować z okazji do niewybrednego kawału. Konfidencjonalnym gestem przyłożyła palec do ust i nie zwracając uwagi na protesty swego chłopaka ostrożnie ruszyła do wejścia. Moment później z chichotem pchnęła drzwi i nagle do uszu Grzeleckiego dotarł pełen przerażenia, niemal spazmatyczny, krzyk.

**KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU**

**ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI**